



W często przeze mnie odwiedzanej wiosce mieszkał pewien odmieniec, nie był to jednak bynajmniej typ wioskowego idioty. Był synem nauczyciela i w dzieciństwie należał do tych nad wiek rozwiniętych istot, po których można się spodziewać rzeczy wielkich — albo zupełnie niczego. Jego ojciec spodziewał się rzeczy wielkich, wymagał więc od syna, żeby ten nie wyściubiał nosa z książek; lecz kiedy chłopiec skończył lat dziesięć, ojcowskie nadzieje się rozwiały. Bystry umysł malca nie tyle się zaćmił, ile całkiem pogubił. Choć czy na pewno? Chłopiec przesiadywał całymi dniami w polu,

dużo się uśmiechał i mało odzywał, przynajmniej dopóty, dopóki jakiś impuls nie rozwiązał mu języka. Wówczas mówił bez ustanku, aż się nie zmęczył, jak stara pozytywka, o której wszyscy myśleli, że jest zepsuta, a tymczasem, przypadkowo trącona, zniecka zaczyna wygrywać swoją melodię. Nigdy nie było wiadomo, co wytrąci Pomyłonego Williego z jego zadumy. Książki nie interesowały go już zupełnie. Czasem ojciec podsuwał mu którąś z jego dawniej ulubionych lektur, lecz chłopiec spoglądał obojętnie na stare podania i księgi i odchodził, żeby sięgnąć po aktualną gazetę. Zazwyczaj bardzo szybko ją odkładał, ale zdarzało się, że jakaś wzmianka, zwykle dość błaha, przykuła jego wzrok; potrafił się w nią wtedy wpatrywać przez godzinę.

Ojciec Williego nie cierpiał przydomka, jaki mieszkańcy wioski nadali jego synowi, mimo że nazywano go tak z sympatią, a Pomyłony Willie był lokalną sławą, którą z dumą prezentowano letnikom. Chłopiec odznaczał się wyjątkową urodą — płowowłosa, o jasnej skórze, na której złociły się piegi, miał niebieskie oczy, filuterne i niewinne jak oczy dziecka, a także pięknie wykrojone usta o niezwykle ujmującym uśmiechu. Kiedy pokazano mi go po raz pierwszy, miał szesnaście albo siedemnaście lat. Spędzałam wtedy w wiosce cały sierpień. Przez pierwsze

dwa tygodnie Willie na moje pozdrowienia odpowiadał tylko uśmiechem, ale któregoś dnia, gdy odpoczywałam na miedzy obok łąnu pszenicy, w trzech czwartych już zżętego, przyglądając się sennie, jak znika także jego środkowy spłacheć, nadszedł Pomyłony Willie i położył się obok mnie na trawie. Nawet na mnie nie patrząc, wyciągnął rękę i dotknął skarabeusza, którego noszę przy łańcuszku od zegarka. I nagle zaczął mówić.

Kiedy byłem dzieckiem w Egipcie, obsiewałem pszenicą pole mojego ojca. Gdy już była wysiana, obserwowałem ją, póki nie wzeszła, a potem, w miarę jak dni mijały, patrzyłem, jak żdźbła zmieniają się w kłosa, a zielony łąn się wyzłaca. I każdego roku, gdy pole złociło się pszenicą, myślałem, że to do mojego ojca należy najcenniejszy skarb w całym kraju.

W tym czasie nad Egiptem panował pewien król o wielu imionach. Najkrótsze z nich brzmiało Ra, więc tak go będę nazywał. Król Ra mieszkał w stolicy, otoczony przepychem. Pole mojego ojca leżało poza miastem i nigdy nie widziałem króla, ale ludzie opowiadali legendy o jego pałacu, jego wspaniałych szatach, koronie i kosztownościach, i o jego skrzyniach pełnych złotych monet. Król jadał ze srebrnych talerzy i pił ze złotych pucharów,

a sypiał w łożu z baldachimem z purpurowego jedwabiu obszytego perłami. Lubilem słuchać tych opowieści o Ra, bo wydawało mi się, że jest królem z baśni; nie mogłem uwierzyć, że jest równie prawdziwy jak mój ojciec, a jego złota szata tak samo rzeczywista jak nasz łan pszenicy.

Pewnego dnia, kiedy słońce było bardzo gorące, a zboże już całkiem wysokie, leżałem sobie w cieniu naszego łanu, wyłuskując ziarna z kłosa i zjadając je jedno po drugim. Nagle usłyszałem nad głową czyjs śmiech; podniosłem oczy i zobaczyłem najwyższego mężczyznę, jakiego widziałem w życiu. Patrzył na mnie z góry. Miał bujną czarną brodę utrefioną w loki, które opadały mu na pierś, a jego wzrok był drapieżny jak wzrok orła; jego nakrycie głowy i całe ubranie połyskiwały w słońcu. Byłem pewien, że to król. Kilka kroków za nim dostrzegłem strażę na koniach. Jeden z gwardzistów trzymał za uzdę rumaka, z którego król zsiadł, żeby mi się przyjrzeć. Przez chwilę w milczeniu patrzyliśmy na siebie nawzajem, on w dół, ja w górę. Potem król zaśmiał się jeszcze raz i powiedział:

- Wyglądasz, chłopcze, na zadowolonego.
- Bo jestem, królu Ra — odpowiedziałem.
- I jesz to ziarno jak najrzadszy przysmak.

— Bo nim jest — odparłem.

— Kim jesteś, chłopcze?

— Synem swego ojca — powiedziałem.

— A kim jest twój ojciec?

— Najbogatszym człowiekiem w Egipcie.

— Z czego to wnosisz, chłopcze?

— To pole należy do niego — odparłem.

Król obrzucił nasze pole przenikliwym spojrzeniem i oświadczył:

— Do mnie należy cały Egipt.

— To za wiele — stwierdziłem.

— Jak to?! — wykrzyknął król. — Za wiele! To wcale nie jest za wiele, a ja jestem bogatszy od twego ojca.

Pokręciłem głową.

— Mówię ci przecież! A w co się ubiera twój ojciec?

— Nosi koszulę jak moja. — Dotknąłem swojej bawełnianej koszuli.

— To popatrz na moje szaty! — Król zamachnął się swoim złotym płaszczem i jego skraj smagnął mnie w policzek. — Czy mimo to uważasz, że twój ojciec jest ode mnie bogatszy?

— Ojciec ma więcej złota niż ten płaszcz — powiedziałem. — Ten łan należy do niego.